

5.1. "Strafkopagnie" /Karna Kompania/

W połowie lutego 1945 r. nasze komando w Landeshut, stanowiące filię obozu w Gross-Rosen, liczące około 1600 więźniów różnych narodowości, przestaje nagle chodzić do pracy. Zatrudniające dotąd więźniów zakłady F-my Kramsta u. Methner AG, przeniesione na Dolny Śląsk, ze Schweinfurthu, ulegają likwidacji. Wszelkie urządzenia i maszyny tej fabryki łożysk są wywożone na zachód. I nas także szykują do ewakuacji. Dokąd? tego nikt nie wie.

14 lutego 1945 r. wieczorem ewakuacja jest już postanowiona. Zastępca Lagerältestera Stanisław Kowalski agituje jednak, aby ci którzy nie czują się na siłach pozostali w obozie.

Byłem już dostatecznie "zmuzułmaniały", aby nie czuć się na siłach do pokonywania pieszo bliżej nieokreślonych odległości. Poza tym dochodziły nas wieści o tym, że SS-mani mordują w czasie drogi więźniów osłabłych w marszu. Zdecydowałem się więc pozostać w obozie wraz z grupą około 350 osób. Było to także ryzykiem, bo można się było spodziewać - znając niemieckie metody - że nas postarają się wykończyć. Mam jednak do wyboru: ginąć gdzieś na drodze, czy na miejscu. Wybrałem drugą możliwość. Pozostawiało to nikłą iskierkę nadziei, że może jednak nie zdążą...

Następnego dnia rano, wydano wszystkim po całym bochenku chleba. Takiej ilości prowiantu na raz nie miałem już od dawna. Nie trwało to długo, kiedy z bochenka pozostały resztki. Zawsze to było pewniejsze, co w żołądku.

W dniu 15 lutego 1945 r. około godz. 8-ej wychodzą z obozu wszyscy zdolni do marszu. Nas w dalszym ciągu pilnuje 3-4 SS-manów. Mimo to szans na ucieczkę raczej nie ma, bo okalające obóz druty pozostają pod napięciem prądu.

Demokratycznie wybieramy nowe władze więźniarskie, co w warunkach obozowych jest niesłychane. Jest więc nowy Lagerältester, kapo na kuchni, pisarz obozowy, pisarz na kuchi itp. Jest przy tym trochę bałaganu, korzystamy więc z niego, aby trochę popróżnować. W gronie kilku kolegów dochodzimy do wniosku, że Armia Radziecka musi być gdzieś już bardzo blisko. Zapadło więc postanowienie przygotowania na powitanie zbliżającej się - w naszym mniemaniu - wolności kilku białoczerwonych i czerwonych chorągiewek. Udało nam się zdobyć trochę inleku o czerwonym zabarwieniu i trochę białego płótna, z którego krawcy mieli przygotować, co trzeba.

Nasz samorząd funkcjonuje jednak tylko przez kilkanaście godzin, gdyż cała grupa ewakuowana rano została zawrócona do obozu po przejściu około 20-tu kilometrów.

Teraz dopiero zaczęła się "zabawa" z tymi, którzy na ten "spacer" nie pposzli. Funkcyjni Niemcy z Richardem Peterem na czele darli się na nas z wściekłością: das sind die Erwartende die Bolschewisten /to są ci, którzy oczekiwali na bolszewików/. Z obozowej ewidencji wyłowiono wszystkie numery więźniów, którzy nie zgłosili się do ewakuacji. Jeszcze tego samego wieczora zabito kilku więźniów z naszej grupy, która natychmiast otrzymała miano i rygor karnej kompanii.

Przez cały następny dzień staliśmy na deszczu w równym pięcioszeregu. Pilnowali nas na zmianę funkcyjni i nie próżnowali przy

tym. Bili nas niemal wszystkich bez wyjątku przy użyciu grubych kijów. Kilku więźniów zostało zatłuczonych na śmierć.

Około godziny 12-jej na dyżur przyszedł kapo Regel - Niemiec, kryminalista z zielonym winklem. Razem z nim przyszedł jego najwierniejszy zauszniak Szulc, Polak pochodzący z Supraśla. Obydwaj są znani ze swoich zbrodniczych poczynań i sadystycznych skłonności.

Po pewnym okresie swej "pracy" podszedł do mnie Regel i ze zjadliwym uśmiechem i z trudem hamując wściekłość w głosie zapytał po niemiecku:

- My się znamy?

- Tak.

- Ty pracowałeś na Werku I przy tych dużych pittlerowskich obrabiarkach?

- Tak.

- I także oczekiwałeś na Bolszewików?

Nawet nie zdążyłem odpowiedzieć, kiedy huknął mnie w głowę trzonkiem od łopaty, poprawił po raz drugi, przy czym trzonek pękł mu w rękę. Odgłos trzaskającego kija z ledwością dotarł do mojej świadomości, bowiem już po pierwszym uderzeniu, zamortyzowanym zresztą nieco włożoną skrycie pod czapkę chusteczką do nosa, świat zawirował mi przed oczami. Po drugim zaś zwałem się w błoto, tracąc przytomność.

Ocknąłem się po jakimś czasie. Stojący po bokach koledzy podtrzymywali mnie pod ramiona. Leżeć na ziemi mieli prawo tylko zabici, ja zaś jeszcze żyłem, więc musiałem stać na własnych nogach.

Tego dnia nie dostaliśmy absolutnie nic do zjedzenia ani picia. Pomalowano nam tylko olejną farbą czerwone koła na piersiach i plecach naszym ubrań oraz na spodniach i czapkach, wygolono brzytwą paski przez głowę, na krzyż. Już po wieczornym apelu zerwano z łóżek około 70-osobową grupę do nocnej pracy. Zobaczyliśmy ich rano, prowadzonych przez Regla i Szulca. Około 10-ciu zabitych nieśli właśnie koledzy na ramionach lub wieźli na wózku.

Tego dnia podzielono nas wszystkich na kolumny robocze. Dostałem przydział do 50-osobowej grupy, wyznaczonej do pracy na tzw. III Werk, pod komendą Zappka. Przed samym wyjściem z bramy obozu, do stojącego w naszym szeregu, starszego wiekiem więźnia Albina Brzostowskiego, księgarza z Białegostoku przyskoczył pisarz kuchni, Niemiec, bijąc go pięścią w twarz i wskazując go Zappkowi, aby ten zapamiętał jego postać. Brzostowski "zasłużył" sobie na nawiść Niemca tylko tym, że przez kilkanaście godzin ewakuacji pozwolił sobie pełnić na kuchni jego obowiązki pisarskie.

Kolumna nasza zatrzymuje się u wrót olbrzymiej hali fabrycznej III Werku. Zappek niemal natychmiast wyciąga z szeregu nieszczęśnika wskazanego uprzednio przez Niemca, uderzeniami pięści zwała go z nóg, poczem kilkakrotnym kopnięciem drewnianym butem w czaszkę pozbawia życia.

Dostajemy przydział pracy. Zadaniem naszym jest przenoszenie stalowych podwozi od fabrycznych wózków szynowych, o wadze po ca 200 kg każde na odległość około 400 m. Wolno nieść najwyżej 4 więźniom jedno podwozie i tylko wysoko na ramionach. Wtedy rozpoczęła się "zabawa" z nami, gra o najwyższą stawkę: życie lub śmierć!

Zewsząd słyhać było potworne wrzaski funkcyjnych, SS-manów, i bitych, łomot kijów i tupot drewniaków. Pot zalewa oczy, a serce bije takim rytmem, że mało z piersi nie wyskoczy. Nie ma co ukrywać, strach przed śmiercią ogarnia również i mnie.

Ciężar niesionego podwozia wprost przygniata do ziemi, a zimne żelazo wyślizguje się z osłabłych rąk. Nie mamy dość siły do

dźwigania tak wielkich ciężarów. Próbujemy więc toczyć podwozia kołami po rozmokłej ziemi. Hoch! hoch! wrzeszczą na taki widok SS-mani i funkcyjni i biją kijami w zgięte od wysiłku karki. Staramy się więc ponownie dźwignąć na barki ten ciężar ponad siły.



Landeshut Werk III widok ogólny
miejsce kaźni karnej kompanii
Nr arch. Gross-Rosen 3.2.1.5

Falisty teren utrudnia widoczność. Nie ma czasu na obserwację, bo poruszać się musimy tylko biegiem. Od czasu do czasu słychać pojedynczy wystrzał karabinowy. W pewnym momencie widzę jak Regel skinięciem ręki przywołuje do siebie mojego przyjaciela Wołodę, który podchodzi z wolna.

Regel pyta go krótko: nie chcesz, czy nie możesz pracować? Na jego odpowiedź, że nie może, Regel każe mu biec przed siebie. Widzę jak stojący przy Reglu SS-man repetuje karabin i oddaje do biegnącego strzał w tył głowy. Wołodia wali się na ziemię. Już nie zobaczy swojej rodzinnej Wołody.

Byłem już u kresu sił, gdy kazano mnie i trójce innych kolegów rozpocząć załadunek rzuconych na stertę podwozi wózków na wagon kolejowy, stojący na bocznicu, biegnącej poniżej, w wykopie. Przy tej czynności nasza czwórka mogła nieco odetchnąć.

Około godziny 13-ej przywieziono nam zupę z jakiejś zieleniny suszonej, tak gorzką i wstrętną, że mimo wygłodzenia nikt nie był w stanie jej zjeść.

Potem kazano nam zebrać zabitych kolegów i załadować ich ciała na platformę odwożącą do obozu kotły po "obiedzie". Przez te kilka godzin 18 więźniów zostało zabitych. Razem z zabitymi odeszło do obozu pod eskortą 12 więźniów.

Pozostało nas około 20 na tym polu śmierci. Kazano nam teraz rozładować wagon, który do południa z takim trudnym załadowaliśmy podwoziami od wózków. Podczas rozładunku do młodego chłopca - partyzanta, schwytanego tuż przed Nowym Rokiem na Podhalu, podchodzi Zappeck. Początkowo drwiną usiłował go sprowokować do jakiegoś de-

sperackiego odruchu. To jest ten - powiada z kpiącym uśmiechem - który się tak ciągle modli. Widząc, że jego drwiny nie odnoszą żadnego skutku, uderza chłopca kilkakrotnie w twarz, poczem każe mu biec przed siebie. Kiedy szcztuty w dodatku psem chłopiec biegnie, rudy SS-man strzela z karabinu w tył jego głowy.

Zabitego przenieśliśmy na własnych ramionach do obozu akurat w czasie wieczornego apelu. Sprawdzającemu stan więźniów Rapportführerowi, Zappek melduje służbiście: dwudziestu więźniów z pracy! Ten dwudziesty leży obok, zamordowany. Lecz ilość więźniów musi się zgadzać - Ordnung muss sein! /porządek musi być/.

Podobnie, jak z naszą kolumną roboczą, postępowano w tym dniu z pozostałymi "karniakami". Ogółem w ciągu 2 dni zginęło około setki naszych kolegów.

Dalszy masowy mord "karnej kompanii" został wstrzymany z powodu interwencji władz wojskowych i protestów miejscowej ludności, na oczach której mordowano więźniów. Wreszcie front był już dość blisko,

Dziś myślę, że najbardziej sprzyjającą okolicznością, która umożliwiła przetrwanie pozostałym przy życiu "karniakom" było to, że nie skoszarowano nas razem na oddzielnym bloku. Wprawdzie naznaczono nas czerwoną farbą, lecz utonęliśmy w masie innych więźniów. A może chodziło i o to, że wcielenie nas do karnej kompanii zostało dokonane nieformalnie, bez udziału "politische Abteilung", który w owym czasie już nie istniał, bo Gross-Rosen było w rękach radzieckich. Gdyby nie te okoliczności z 350 osobowej grupy "karniaków" pozostałoby po tygodniu przy życiu nie więcej niż 5-6 osób, tak jak nam to obiecywano.

Oczywiście represje w stosunku do "karniaków" nie skończyły się, przybrały inną formę, jak stałe szykany, najgorsza praca itp.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.5.

Warszawa, marzec 1973 r.

G ł ó d

Jest sprawą powszechnie znaną, że celem szybszego wyniszczenia więźniów w obozach, hitlerowcy dawali im znacznie mniejsze racje żywnościowe, niż to wynika z minimalnych potrzeb dla utrzymania człowieka przy życiu. Postępujące w miarę upływu czasu wycieńczenie organizmu na skutek niedożywienia powodowało w obozach zwiększoną śmiertelność.

Nie wszyscy jednak cierpieli głód. Nie brakowało jedzenia wszystkim prominentom pełniącym różne obozowe funkcje. Poza tym część więźniów, z mniejszą lub większą regularnością, otrzymywała paczki żywnościowe z domu, niektórzy nawet w takich ilościach, które przekraczały ich potrzeby. Kupowali więc sobie za nadmiar żywności albo rozmaite usługi gorzej sytuowanych kolegów, takie jak np. pranie, sprzątanie po sobie itp. albo też lepszą odzież lub jakieś drobiazgi.

W najgorszej sytuacji byli pod tym względem więźniowie Rosjanie, Jugosłowianie, Cyganie, Grecy, Żydzi, którzy nie korzystali z żadnej pomocy aprowizacyjnej z zewnątrz. Od lipca 1944 r. włącznie, pomocy takiej byli również pozbawieni wszyscy Polacy, posiadający rodziny na wschód od Wisły, gdyż ze względów oczywistych nie było żadnej łączności z terenami wyzwolonymi spod okupacji.

Ja również zaliczałem się do tej ostatniej grupy. W sierpniu 1944 r. powołano mnie w Landeshut do utworzonej w tym czasie tzw. sztuby dla młodocianych, usytuowanej na piętrze bloku obozowej kuchni. Było nas około 60-ciu w wieku od 14-tu do 18-tu lat. Teoretycznie traktowano nas identycznie, jak pozostałych. Jednak mieszkający z nami przez ścianę kucharze dbali o nas nieco, obdarowując czasami swoimi porcjami zupy, które sami uważali za niejadalne. Sytuacja taka trwała jednak krótko, około 2 miesięcy, poczem w październiku 1944 r. "rozparcelowano" nas na inne bloki.

Więźniowie chwyтали się różnych sposobów, aby zdobyć dodatkowe ilości środków żywnościowych, przede wszystkim wykonywali w fabryce w czasie pracy tzw. "fuchy". Były nimi igły do szycia, których ciągle było brak, ozdobne numery obozowe na rękę w kształcie zegarka, znajdujące zawsze nabywców wśród prominentów, jakieś statuetki lub inne drobiazgi. Inni, sprytniejsi, handlowali w obozie czym się tylko dało, a walutę obiegową stanowiły papierosy, za które nabyć można było niemal wszystko, co w takich warunkach było potrzebne do życia. Najgorszą sytuację mieli pałacy, a zwłaszcza ci, którzy za papierosy oddawali przydziałowe porcje chleba. Przyspieszało to wyniszczenie organizmu, po czym następowała zwykła więziarska śmierć z wycieńczenia.

Pamiętam Jana Kawę, przywiezionego w sierpniu 1944 r. do naszego Komanda w transporcie z więzienia w Tarnowie. Był kowalem z zawodu, zaś z postury olbrzymim zwałistym chłopem w wieku około 27 lat. Należał jednak do tych, którzy od samego początku pobytu w obozie nie mogli opanować głodu. Chwytał się więc najprymitywniejszych sposobów, aby po raz wtóry stanąć w kolejce po zupę, dopchnąć się na siłę po repetę. Parokrotnie przyłapano go na tym, za co dostawał potężne bicie, na skutek czego zmarł już we wrześniu 1944 r.

Zdobycie dodatkowo jakąś porcję strawy było niezmiernie trudno, czasem się to jednak udawało. Mniej więcej w listopadzie 44 r. nasza 20 osobowa "Hofkollona" dostała polecenie rozładowania wagonu kolejowego na fabrycznej bocznicy. Wagon ten był do połowy zapełniony workami cementu, w połowie zaś beczkami z kiszonymi ogórkami, przeznaczonymi do ss-mańskiej kuchni. Skręcający trzewia głód, spotęgowany do tego drażniącym nozdrza zapachem ogórków był nie do wytrzymania. Opanowała nas obsesyjna myśl, żeby się do tych ogórków dostać, ale jak? Z Jankiem Z. z Grudziądza nie trzeba było na ten temat gadać, wystarczyło mrugnąć okiem. Spuszczona po pochylni z desek beczka z nagłą "wyślizguje" nam się z rąk, spada kaniem na zamarzniętą ziemię i rozlatuje się. Dobra nasza! Wszyscy jedliśmy te ogórki, ile tylko kto mógł. Byliśmy tym tak zafascynowani, że nie zwracaliśmy na nic uwagi. Nagle usłyszeliśmy głos głównego dyrektora fabryki, opasłego Niemca ze swastyką w klapie, który darł się do pilnującego nas SS-mana: pass doch auf die verfluchte Schweinehunde! Sie sollen das nicht fressen! Gadaj sobie zdrow, co w żołądku, to nasze. Skacowanemu SS-manowi nie chciało się w tym dniu zbyt zaprzętać sobie nami głowy, więc w dalszym ciągu nie zwracał uwagi na nasze zajęcie. Beczki pełne i tę rozbitą zanieśliśmy pod szopę. Ale po pewnym czasie zjedliśmy wszystkie zdobyte ogórki i znów jeść się chce. Postanowiliśmy niby to pozbierać spod wagonu resztki rozsypanego cementu, aby się nie zmarnował. Było tego około kilograma, lecz nieśliśmy to na rozpostartej płachcie papieru, a wszystko po to, aby mieć pretekst do wejścia pod szopę, gdzie były ogórki. Cement rzuciliśmy w połowie szopy, przyskoczyliśmy do beczki. Ogórkami napchaliśmy sobie wszystkie kieszenie kurtek.

Tego dnia po raz pierwszy od wielu tygodni byłem najedzony, zjadłem nie mniej niż 3 kg ogórków na raz, bez zdanych ujemnych skutków dla żołądka.

W drugiej połowie lutego 1945 r., po ewakuacji zatrudniającej nas dotąd fabryki łożysk, całe nasze Komando w Landeshut przestało pracować. Co dzień wyznaczano tylko niewielką grupę do grzebania zmarłych, których ilość zaczęła gwałtownie wzrastać. Znikome i tak racje żywnościowe ograniczono jeszcze bardziej. Nasze dzienne menu składało się: rano i wieczorem po 1/2 litra gorzkiej kawy zbożowej, w której jedyną wartość odżywczą stanowiły tzw. fusy, 1/2 litra polewki, zwanej zupą, po otrzymaniu której za nadzwyczajnego szczęśliwca mógł się uważać znalazca listka kapusty lub kawałka brukwi; jeden bochenek chleba dla 8-miu lub czasem 12-tu osób.

Poza tym niemal całkowicie ustał wszelki dopływ paczek żywnościowych z zewnątrz. Powstał więc w obozie głód wprost nie do wytrzymania. Z głodu większość kolegów zaczęła puchnąć. I ja również miałem obrzęk twarzy i najuciążliwsze w tych warunkach - obrzęki stóp. Wielu więźniów ogarnęła gorączka głodowa. W obozie widać było czasami zorganizowane watahy, które nie bacząc na wszelkie zakazy i potworne bicie, rzucali się na pilnowane bacznie śmietniko przy kuchni, aby tam zdobyć jakąś zapomnianą kość lub obierkę z brukwi.

Któregoś dnia w samo południe do bramy obozu wtoczył się z wolna zaprzężony w woły wóz, załadowany po brzegi burakami pastewnymi, które miały być zakopcowane w przeciwległym krańcu obozu. Trudno powiedzieć, kto wtedy dał hasło do ataku. Na taką zdobycz rzuciły się w mgnieniu oka setki wygłodniałych muzułmanów. Nie pomogła zorganizowana z funkcyjnych na prędcę obrona wozu, nie pomogło żadne bicie kijami i łopatami, zgłodniała tłuszcza była silniejsza w swojej masie. Do miejsca przeznaczenia dotarły nędzne resztki buraków, mimo że na trasie przejazdu wozu pozostało kilku zabitych i rannych. Zagrabione buraki spożywano natychmiast, ze skórą i resztkami piasku.

Innego dnia dostałem się do grupy, która miała uprzątnąć opustoszałe hale fabryczne tzw. II Werku. Nikt z nas nie ma ochoty do pracy, wszyscy zaś natychmiast rozbiegli się po halach w poszukiwaniu resztek pożywienia w pustych szafkach niemieckich robotników cywilnych. W którejś z kolejnych szafek udało mi się znaleźć 2 surowe ziemniaki. Tym razem nie mogłem opanować wprost zwierzęcego głodu i zjadłem je natychmiast z łupiną, a smakowały mi tak jak najlepsze pączki. W innym pomieszczeniu znalazłem zeschnięte skórki chleba i zjadłem je natychmiast.

A więc i mnie ogarnęła gorączka głodowa, wprost nieludzki instynkt, coś silniejszego od logiki i wszelkich innych nakazów. Dotąd byłem w obozie zawsze głodny, lecz takiego uczucia jak teraz nie zaznawałem.

Musiałem być wtedy już bardzo "zmuzułmaniały", czego wymownym świadectwem może być fakt, że w dwa tygodnie po wyzwoleniu obozu, po pewnym okresie lepszego odżywienia, przy którym musiał nastąpić pewien przybytek wagi, ważyłem nieco ponad 31 kg, co przy moim wzroście 174 cm było wagą poniżej wszelkich norm. Nic więc dziwnego, że nastąpił u mnie w tym czasie niemal całkowity zanik mięśni. Dlatego to z wielką trudnością pokonywałem takie przeszkody, jak np. schody na I piętro.

Pozostało mi z tego do dziś w psychice to, że nie znoszę wprost widoku psującej się żywności, a zwłaszcza chleba, do którego mam wielki szacunek.

Nie byłem na pewno jedynym, który tak się zachowywał. Przykładem tego był starszy wiekiem więzień, pochodzący z Poznańskiego, nazywany przez nas "Dziadkiem". Przesłano go ze Straflagru w Blechhammer/Blachownia Śl./. Jako człowiek znający język niemiecki miał trochę łatwiej w obozie, a ponadto regularnie otrzymywał paczki żywnościowe, wprawdzie skromne bardzo, ale jednak. Paczki te sprawiały, że "Dziadek" nie odczuwał pełni głodu. Nie mógł też zrozumieć innych, którzy z głodu zawsze i wszędzie węszyli za ochłapami czegoś, co nawet w najmniejszej mierze nadawało się do zjedzenia. Wyrzekał też zawsze na widok ludzi szukających pożywienia w obozowym śmietniku. To świństwo - mawiał.

W styczniu 1945 r. "Dziadek" również przestał otrzymywać paczki żywnościowe. Po kilku tygodniach zauważyłem "Dziadka" szperającego właśnie w śmietniku. Na moją uwagę "Dziadek" odpowiedział: teraz naprawdę głodny jestem.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.12

Warszawa, luty 1973 r.

Kopanie rowów przeciwczołgowych

W marcu 1945 r. po kilkutygodniowej beczynności i "bezrobociu", znaczącym dla nas przede wszystkim wprost niebywały głód, powodujący śmierć wielu kolegów, obóz zaczął ponownie pracować. Siłę roboczą więźniów zakupił Wehrmacht dla budowy umocnień obronnych wokół Landeshut, przede wszystkim budowy w ziemi stanowisk ogniowych broni przeciwpancernej oraz rowów przeciwczołgowych. Dla nas był to powrót do norm wyżywieniowych sprzed okresu bezrobocia, a więc zwiększonych, choć nadal głodowych i niewystarczających.

Pierwszy dzień pracy był wprost koszmarny. Około 1000 więźniów SS-mani prowadzili kilkanaście kilometrów za miasto w kierunku zachodnim. Panowała śnieżna zadymka. Mokry śnieg lepił się do podeszew drewnianych butów, tworząc półkolistą kilkucentymetrową zbitą warstwę, której nie było jak usunąć. Po przejściu kilku kilometrów na takich podeszwach nie można już było iść. Kilku więźniów już na początku drogi padło ciężko w śnieg. Jeszcze nie wiedzieliśmy dlaczego przy każdym z leżących pozostaje po jednym SS-manie. Ci spośród kolegów, którzy posiadali obuwie na skórzanym lub gumowym podszewie byli szczęśliwcami.

Po przybyciu na miejsce robót byliśmy śmiertelnie zmęczeni i tak skotniaли z zimna, że nie można było utrzymać w ręku żadnego narzędzia, ani łopaty, ani oskarda.

Kończyliśmy robotę przed zmierzchem i wracaliśmy do obozu. Ta powrotna droga była jeszcze bardziej koszmarna wobec wyczerpania całodzienną pracą. Coraz więcej ludzi z braku resztek sił padało w śnieg. Oznaczało to w praktyce koniec wszelkich ziemskich mąk, trosk i bólu, gdyż SS-mani z eskorty strzelali dobijając leżących.

Po przejściu kilku kilometrów i mnie opuściły siły i zwałem się na ziemię. Było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie. Powoli mijały mnie szeregi kolegów, nawołując do powstania z ziemi, lecz nie miałem na to sił. Leżałem tak kilka dobrych chwil, kiedy podbiegł do mnie SS-man z eskorty prowadzącej na samym końcu kolumny najbardziej osłabłych w marszu więźniów. Zdzielił mnie kolbą karabinu zmuszając do podniesienia się, po czym wrzasnął: zdejmuj buty! W ten sposób pozostałe kilka kilometrów do obozu przeby-

łem po śniegu w samych skarpetach. Niezaprzeczalnie uratowało mi to życie.

W tym dniu zginęło wielu kolegów, a między innymi jeden z braci Ruśniaków, pochodzący z Białostockiego. Mnie się tym razem udało: po powrocie do obozu nie miałem nawet kataru.

Do dziś nie mogę pojąć, jakimi pobudkami kierował się ten SS-man, każąc mi zdjąć buty. Na pewno nie kierowało nim żadne uczucie litości, gdyż był to mój prześladowca od kilku miesięcy. Zaczęło się to jeszcze w czasie, kiedy pracowałem na II Werku. Dostałem polecenie wyładunku z samochodu opakowań do łożysk. Ponieważ w pomieszczeniu było zimno, przeto dla ochrony kostniejących rąk chwytalem ładunek przez zsunięte rękawy pasiastej marynarki. Wtedy podszedł do mnie ten właśnie SS-man i spytał: simno na renki? Kiedy zdumiony tą dziwną polszczyzną nie odpowiadałem przez chwilę, powtórzył pytanie po niemiecku. Na moją twierdzącą odpowiedź, zamierzył się na mnie kolbą karabinu, przy czym poślizgnąwszy się przy zamachu na topniejącym śniegu, runął jak długi na ziemię. Kiedy się podniósł, skatował mnie tak bardzo, że przez kilka dni jedynie z wielką trudnością mogłem się poruszać. Później zaś znęcał się nade mną przy każdej nadarzającej się okazji, bez powodu. Jestem pewien, że gdyby napotkał mnie w karnej kompanii, nie żyłbym już.

Tym razem jednak jego złośliwość w stosunku do mnie właśnie mnie ocaliła.

Do kopania okopów przeciwczołgowych chodziłem jeszcze przez kilka dni. Zmieniła się jednak pogoda, przeto droga w obydwie strony stała się bez porównania lżejsza. Poza tym mieliśmy już pewne doświadczenie, które pozwoliło zabezpieczyć się przed groźbą śniegu lepiącego się do butów.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.8

Warszawa, marzec 1973 r.

"Revier" /obozowy szpital/

W połowie marca 1945 r. zwała mnie z nóg dolegliwość żołądka, nb. zbierająca w obozie największe żniwo śmierci, zwłaszcza wśród "muzulmanów". I ja już byłem "muzulmanem", do czego znacznie przyczynił się kilkutygodniowy okres zmniejszonych do minimum, i tak skąpych racji żywnościowych. Przez kilka dni chodziłem jeszcze do pracy przy kopaniu rowów przeciwczołgowych, gdyż nie chcieli mnie przyjąć na izbę chorych, zwaną "Revier". Męczyłem się więc bardzo i coraz więcej opadałem z sił. Szczęśliwym dla mnie zbiegiem okoliczności dostrzegł mnie kiedyś St. Kowalski, pełniący "de nomine" obowiązki zastępcy "Lagerältestera", faktycznie zaś prowadzącego magazyn odzieży. Widząc moją mękę, Kowalski kazał mi następnego dnia zgłosić się ponownie na Revier. Dostałem się tam za jego protekcją.

Ulokowano mnie na 2 sztubie, u sztubowego Mariana S. Był to młody chłopak, lat ok. 22, mający jakieś komplikacje z płucami. Tak samo jak i ja dostał się do Revieru przez protekcję, która umożliwia mu od kilku miesięcy rekonwalescencję, gdyż żadna praca go nie obowiązywała, chociaż inni w tym samym stanie zdrowia musieli chodzić normalnie do pracy.

I mnie spotkało to szczęście, że nie musiałem pracować. Mój zo-

łodek nie dawał mi o sobie zapomnieć w dzień i w nocy. Drugiego dnia pobytu na Revierze dojrzał mnie Revierkapo, zwany "Dzięciołem" /nosił granatową czapkę kolejarzy niemieckich z naszytą na niej czerwoną łata/. Był nim Polak, młody więzień, o nazwisku Tochyska, podobno były elew szkoły kadetów we Lwowie, dość narwany, mający jednak swoje pozytywne cechy. Podszedłszy do mnie zapytał obcesem: ty chcesz żyć? Pytanie z pozoru dziwne, zwłaszcza że pytany miał dopiero 19 lat. Oczywiście, chcę! To masz nie jeść! nic! Tak długo, jak tylko wytrzymasz! To jedyne lekarstwo dla ciebie, bo inaczej zdechniesz! Później spróbuję cię odkarmić repeta. Zbieraj sobie tylko chleb i susz! Na moją uwagę, że przy tak wycieńczonym organizmie nie wytrzymam głodówki, "Dzięcioł" odpowiedział tylko: musisz!

Posłuchałem tej rady, nie jadłem więc nic przez cztery kolejne dni, a żołądek przestał mi dolegać. Później znów nastąpił nawrót choroby, znów więc głodowałem przez 3 dni, poczem po poprawie i kolejnym nawrocie dolegliwości, głodowałem dalsze 2 dni. Nie wyleczyłem tym sposobem żołądka, bo jego dolegliwości odczuwałem jeszcze długo, nawet po wyzwoleniu. Znacznie jednak zelżały jego dolegliwości, okresami było nawet zupełnie dobrze. W mojej sytuacji głodówka była oczywiście namiastką środków leczniczych - z braku jakichkolwiek lekarstw w obozie - gdyż choroba miała swoje podłożę w ogólnym wycieńczeniu organizmu, pozbawionym podstawowych witamin. Niemniej była skuteczna.

Na Revierze miałem dużo lepsze warunki przede wszystkim dlatego, że nie musiałem chodzić do pracy. Jedynym zajęciem moim i innych kolegów była niemal dwudziestoczęterogodzinne szukanie insektów w odzieży, które rozmnożyły się u wszystkich bardzo z powodu braku możliwości kąpieli i zmiany bielizny, i to od wielu miesięcy. Czasem Marian z nudów wymyślał dla nas jakieś bezsensowne zajęcia, czasem kogoś z chorych więźniów zbił dotkliwie, też chyba z nudów.

Kiedyś do umywalni Revieru zaprowadzono więźnia o nazwisku lub przezwisku Patyk. Nie wiem, czym ten człowiek się naraził. Przez jakiś czas słyszeliśmy tylko jego jęki i krzyki z bólu. Później odgłosy te umilkły, Patyk nie żył już. To sztabowi Tadeusz Osowski i Marian "załatwili" chłopca na zawsze - śmiertelnie.

Spośród sztabowych Revieru na szczególną uwagę zasługiwał Tadeusz Osowski. Ten młody, około 20-letni więzień o przyjemnym z pozoru wygądzie, wywodzący się z inteligenckiej rodziny, najmniej chyba zasługiwał na miano człowieka. Swoich podopiecznych katował w najwyszukańszy sposób, a czynił to z wyraźnym zadowoleniem na uśmiechniętej twarzy.

Na Revierze panowała wysoka śmiertelność. Przypisać to można w części obozowemu wyżywieniu, zawsze głodowemu. Najważniejszą jednak przyczyną zgonów było to, że nie było tam lekarstw. W takim stanie rzeczy wszelkie wizyty lekarza i sanitariuszy: L. Kołakowskiego - studenta medycyny i R. Raczyńskiego, stawały się zwykłą formalnością. Lekarz z reguły sprawdzał tylko, czy stan zdrowia chorego nie polepszył się na tyle, że może iść do pracy, aby zwolnić miejsce dla innych chorych. Obydwaj sanitariusze, w miarę swoich możliwości, starali się pomagać chorym, lecz możliwości mieli znikome.

Z tych to powodów radziecki partyzant, pochodzący z Polesia, złapany przez Niemców gdzieś w Lubelskim, żył na Revierze tylko 2 dni. Przyprawiony z silną temperaturą Tadeusz Pietrzak z Warszawy zmarł po 3-ch dniach. Innym razem przywieziono z pracy jakiegoś więźnia również z silną temperaturą. Z braku miejsca położono

go na jednej pryczy ze mną. Kiedy następnego dnia rano przebudziłem się, mój współlokator z pryczy był już sztywny, nie żył.

Na krótko przed wyzwoleniem, do mojej sztuby przyszedł b.kilgodzinny Lagerältester z okresu ewakuacji obozu w lutym 1945 r. o nazwisku Wojciechowski. Miał prawdopodobnie daleko zaawansowaną gruźlicę "galopkę", której początków z pewnością nabawił się w karnej kompanii. Tylko tydzień cieszył się wolnością, gdyż wkrótce po oswobodzeniu z obozu zmarł.

Na Revierze był także gabinet dentystyczny, z fotelem i bormaszyną. Lecz urzędujący tam lekarz - stomatolog narodowości francuskiej nie posiadał materiału na plomby. Z konieczności więc co najwyżej wyrwał bolące zęby na żywca, bo o leczeniu i znieszczeniu nie było mowy.

W mojej sztubie przebywał także Staszek Wachsberger, syn piekarza z Bielska Białej. Jego ojciec natychmiast na początku okupacji został Reichsdeutschem, matka zaś pozostała przy narodowości polskiej. Ojciec spowodował wcielenie wszystkich braci Staszka do Wehrmachtu, jego zaś, jako nastolatka oddał do Reichsarbeitsdienstu, skąd ten po jakimś czasie uciekł. Z braku innego oparcia szukał pomocy u matki, którą dostarczała mu jedzenie do znajdującej się w pobliżu domu kryjówki. W ręce Gestapo wydał Staszka jego własny ojciec. Od roku 1940 Staszek przebywał w Auschwitz. Do Gross-Rosen trafił jako jeden z pierwszych więźniów. O warunkach pobytu w tym obozie w latach poprzednich opowiadał wprost niewiarygodne okropności, znał wszystkich obozowych zbrodniarzy, nie wyłączając słynnego Vogla z karnej kompanii. Wiosną 1945 r. Staszek był strzępem ludzkim, gdyż pożerała go gruźlica. Doczekał wyzwolenia obozu, lecz z pewnością nie długo mógł cieszyć się wolnością.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.6

Warszawa, kwiecień 1973 r.

5.2. "Krwawy piątek" w Landeshut

We wszystkich dotąd wydanych wspomnieniach, czy obrazach literackich ukazywano potworne zbrodnie masowego ludobójstwa - czy powolnej, ale systematycznej eksterminacji odpornej ludności narodów okupowanych przez hitlerowskie Niemcy - raczej w wielkich obozach, jak: Auschwitz, Majdanek, Stuthof, Mauthausen, Dachau i wielu innych.

A przecież obok tych wielkich obozów po całym obszarze Niemiec rozsiane były liczne obozy małe tzw. Komanda, które podlegały obozom wielkim.

Centrala Gross-Rosen posiadała ponad 100 takich Komand. Jednym z tych obozów był liczący ponad 1500 więźniów, obóz w Landeshut /obecnie Kamienna Góra, koło Wałbrzycha/. Ograniczę się do opisanie najbardziej dramatycznego dnia, który w pamięci więźniów tego obozu pozostał pod nazwą "krwawego piątku". Takich dramatycznych wydarzeń miał ten niewielki obóz wiele, czy to z okazji ucieczek, rewizji, egzekucji itp.

Szczególnie dramatyczna była ucieczka Wereszczyńskiego, czy 18-letniego Piotra Garczyńskiego, syna lekarza warszawskiego, którego pochwycono w pasie frontowym i publicznie na oczach obozu powieszono. Niemniej dramatyczne chwile nastąpiły wówczas, kiedy przez Landeshut przeciągały kolumny więźniów żydowskich, ewakuowanych z Auschwitz. Szeregu krwawych morderstw wśród nich dokonano na terenie naszego obozu. Ciężkie też chwile nastąpiły po wydarzeniach "krwawego piątku" tj. po 16.II.1945 r. w obozie, kiedy już fabryki były nieczynne i kiedy obóz pozostawiony był własnemu losowi, pozbawiony aprowizacji i skazany na głodowe wyniszczenie. Równie ciężkie były tygodnie marca i kwietnia tegoż roku, które pochłonęły wiele ofiar, zarówno przy kopaniu rowów przeciwczołgowych, jak i wskutek różnych akcji.

Na terenie obozu znani byli tacy oprawcy, jak Marian, który taboretami wykończył grupę Żydów, jak gruzlik Henryk Iwanowski, który dusił więźniów, huśtając się na desce, położonej na upatrzoną ofiarę. Ci doczekali się wyroku śmierci ze strony polskiego sądu. Nie wiadomo, co się stało z "Teo" Szulcem, który miał chyba kilkadziesiąt ofiar na sumieniu, czy z Czechem Adamem. Były pogłoski, że go sami Czesi już po uwolnieniu wykończyli. Na czele stał Lagerältester Peter, typowy bandyta, choć jak sam się chwalił, miał być złodziejaszkiem berlińskim. Potworem w ludzkim ciele był też i przysadzisty oberkapo Dicke i równie okrutny Regel.

Motorem napędowym tej niszczącej maszyny byli i "godni" Lagerführerzy, podoficerowie SS. Pierwszy o nazwisku Gross, elegancki sadysta w rękawiczkach. Przejeżdżał on często po terenie obozowym na rowerze, a za nim, sapiąc, biegł jak pies, lagrowy Peter. Jego następcą był mniej elegancki, ale również brutalny Herbert Hanke.

Oni to często policzkowaniem i kopaniem więźniów dawali hasło masakry w obozie. Trzymano się bowiem takiej zasady, że ilość więźniów w obozie nie mogła zbyt wzrastać. Gdy więc przyciągały "Zugangi", należało też zaraz zorganizować odpływ.

Terenem masakr, i to wcale nie łagodniejszym, były fabryki,

szczególnie hala-trumna poza miastem, zwana Werkiem III, w której praca wykańczała ludzi w przeciągu kilku tygodni. W tej to fabryce zginął kolega Krzysztofka, nauczyciel z Bielska Podlaskiego. Jeszcze dziś z odrazą przypominam sobie eleganckiego, o szczerzym wyrazie twarzy, kierownika kontroli w fabryce nr 1, szczególnie utalentowanego w policzkowaniu i kopaniu więźniów. Wśród majstrów spotykaliśmy także i ludzi, ale i również wyrafinowane bydlęta. Jeden z nich, brunet, szczególnie masakrował więźniów - Polaków, uzasadniając to zemstą za śmierć syna pod Warszawą. Każdy zapewne z b. więźniów tego obozu pamięta do dziś czyszczenie maszyn przez zmianę nocną przed zakończeniem prac tygodniowych w nocy z soboty na niedzielę. Wtedy to, zamiast przyrzeczonego dodatku żywnościowego za uzyskanie wyższych norm pracy, wypłacono kijami w kotłowni karę za niskie wykonanie normy. Wówczas wyładowywano całą wściekłość na więźniach za wszystkie w danym tygodniu poniesione na frontach klęski.

Po każdej takiej czystce wleczono trupy ofiar do obozu. W tej akcji wyróżnił się szczególnie jeden z majstrów "blondyn". Jakże bydlęcy był rozrachunek z nami tych "Übermenschów" w sierpniu i wrześniu 1944 r. w okresie Powstania Warszawskiego: Na porządku dziennym było mordowanie, kopanie, nie tylko przez SS-manów, ale i majstrów, czy zasłużonych kapów. Wymyślano wtedy najbardziej wyrafinowany sposób tortur, bo zakaz dokonywania potrzeb fizjologicznych poza przerwą w czasie 12 godzin pracy. Załatwiano się ukradkiem przy maszynach pod grozą bicia i śmierci.

Zapewne nie jeden z tych oprawców żyje sobie na Zachodzie do dziś spokojnie i jeszcze szczyci się ze swych "humanitarnych" uczynków, udając ofiarę systemu hitlerowskiego. Szkoda, że b. Związek Więźniów Politycznych, a obecnie ZBoWiD nie zorganizowały choć częściowych zjazdów uczestników poszczególnych obozów i ich komand, aby można było ustalić nazwiska oprawców.

Pragnę opisać najbardziej dramatyczny epizod z historii tego obozu, nazwany "krwawym piątkiem".

Było to w początkach 1945 r. W styczniu i w połowie lutego przedostała się do nas za druty, do fabryki, radosna wieść o podjęciu nowej ofensywy z nad Wisły na Zachód przez armię radziecką.

Wściekłość SS-manów i majstrów świadczyła niechybnie o zbliżającym się froncie. I po raz pierwszy w tej wojnie przekonaliśmy się, że fakty wyprzedzały pogłoski o szybkości posuwania się wojsk radzieckich.

Gdy docierała do nas wieść o oswobodzeniu Kielc, armia radziecka docierała do Katowic, gdy dowiedzieliśmy się o walkach na Górnym Śląsku, usłyszeliśmy już armaty niedaleko nas. Nastały dni gorącego oczekiwania, niepokoju, co z nami zrobią oraz dni nowych wzrastających szykan. Mogliśmy się spodziewać wszystkiego najgorszego, wyraźnie nam bowiem majstrowie mówili, że nikt z nas wolności nie doczeka, że po to znaleźliśmy się w obozie, aby nas praca i głód zniszczyły.

Oglądaliśmy z przerażeniem przeciągające gromady ewakuowanych więźniów z Auschwitz i innych obozów położonych na wschód od nas. Widzieliśmy, jak wpychano te gromady na noc w lochy wyżłobione w pobliskim zboczcu wzgórza, skąd po każdym takim noclegu wynoszono kupy trupów, uduszonych z powodu braku powietrza.

Pewnego dnia w czasie upozorowanego alarmu lotniczego poprowadzono nas do lochu - niby schronu przeciwlotniczego dla więźniów, w którym to nocowały ewakuowane konwoje. I wepchano tam nas chyba po to, aby stwierdzić, czy się zmieścimy w tym lochu w odpowiedniej chwili. Stłoczono nas w ciemnym wilgotnym lochu i zamk-

nięto żelazną bramą. Po kilkunastu minutach już brak było powietrza i ludzie zaczęli się dusić. Sądziłem, że nadszedł już koniec. Na szczęście była to chyba tylko "przymiarka". Wiedzieliśmy, że potworny system nie wypuści tak łatwo swych ofiar. Mimo tych niepokojących refleksji, słuchaliśmy z radością zbliżających się odgłosów frontu. Patrzyliśmy z radością na grupki majstrów omawiających żywo i ze strachem sytuację frontową.

Oczywiście ich niepokój odbijał się na naszej skórze, wyładowywali swą wściekłość na nas, jakbyśmy my byli głównymi sprawcami zbliżającego się nieodwołalnie ku nim sprawiedliwego losu.

Tak nadszedł dzień 14 lutego - środa. Pracowałem w grupie zmiany dziennej. W dniu tym niepokój i wściekłość majstrów i SS-manów doszła do zenitu. Niedaleko nas skopano butami na śmierć jednego starszego więźnia z Poznania i trupa umieszczono w kącie ustępu. Huki strzałów armatnich rozlegały się coraz wyraźniej. W przededniu rozeszła się pogłoska, iż czołgi radzieckie dotarły już na kilka kilometrów od Landeshut, tak, że lada chwila należy oczekiwać wolności. Nagle, pod wieczór około godz. 16-tej, tj. na dwie godziny przed zakończeniem zmiany dziennej, zarządzono przerwę w normalnej pracy, polecając nam szybko rozmontowywać aparaty kontrolne i precyzyjne urządzenia i ładować je do skrzyń. Wiedzieliśmy, że to już ewakuacja. Przed bramą fabryki nie zauważyliśmy zmiany nocnej.

W obozie oznajmiono nam, że należy się szybko przygotować do ewakuacji. Kto czuł się na siłach, miał sobie przygotować plecak z koców, spakować i tak znikome osobiste przedmioty i być gotowy do wymarszu. Kto czuł się niezdolny do marszu, słaby, miał zgłosić się do lekarza i mógł zostać. Chorzy na Revierze i maruderzy mieli pozostać.

Wieczorem rozdzielono podwójne porcje chleba i gorączkowo przygotowywano się do drogi. Większość szykuje się, przestrzegając, iż pozostali na pewno zostaną zlikwidowani. Biję się z myślami, co zrobić - iść, czy zostać. Do tułaczki brak sił, buty w strzępach, pozostać na likwidację się nie chce. W resztkach świadomości zatlił się słaby promyk nadziei na zaskoczenie obozu, czy wymknienie się w czasie zamieszania.

Rankiem 15 lutego 1945 r. ustawiono kolumnę do wyjścia i segregowano kto ma pozostać. Byłem do marszu przygotowany i stałem w kolumnie.

Już przedtem rozmawiałem z kol. Brzostowskim z Białegostoku, co on postanawia. "Mają mnie po drodze gdzieś w rowie zastrzelić, jak psa - niech strzelają tu" - oświadczył. Waham się co zrobić - iść, czy zostać? Loteria o życie, o przypadek szczęśliwy, czy tragiczny. Tuż przed odmarszem, decyduję się na pozostanie.

Pozostało nas, "muzułmanów" różnej narodowości, stukilkudziesięciu oraz około 200 chorych na Revierze. Wśród pozostałych było dużo Polaków i dość spora grupa Rosjan. Pogoda tego dnia była wprost przedwiosenna. Blade promienie słoneczne ślizgały się po grząskim błocie opustoszałego placu apelowego. Za opuszczającą teren obozowy kolumną zamknęły się bramy obozu. Jak zwykle poza drutami czuwały nadal na "bocianach" strażę SS-manów.

Wśród więźniów pozostałych w obozie nie było dyscypliny obozowej. Niektórzy zaczęli plądrować po obozie w poszukiwaniu żywności.

Wobec wzrastającego chaosu, więźniowie polscy zbierają wszystkich i podejmują próbę opanowania niesfornej gromady przez wybór samorządu obozowego i objęcia kontroli nad kuchnią i magazynem. Nie było to łatwe. Każda z grup narodowościowych chciała mieć

swoich, nie ufając innym. Polacy mieli przewagę ilościową. Kol. Brzostowski, jako jedyny pracujący poprzednio w kuchni, zorganizował grupę więźniów do objęcia magazynu i kuchni. Stwierdziliśmy, iż pozostawiono nam jedynie kupę wpełzgniętych ziemniaków oraz wory suchego zielska. Margaryny, czy powideł, ani śladu, wszystko to zabrała kolumna ewakuowana. Widzieliśmy jak przy ładowaniu kapowie i funkcyjni pakowali sobie paczki margaryny. Zbliżało się południe. Pod kierownictwem ko. Brzostowskiego przygotowano obiad.

SS-mani nie byli zainteresowani tym, co się działo w obozie, pilnowali tylko, aby nikt nie przedostał się poza druty. Zdołaliśmy jednak jakoś rozdzielić pożywienie wśród chorych i pozostałych w obozie.

Zbliżał się wieczór. W porozumieniu z nadzorem SS dostarczono kuchni do podziału odpowiednią ilość chleba obozowego. Każdy chleb na 6 więźniów. Przy podziale wybuchały awantury. W czasie przygotowywania kolacji nagle dano znać, iż do obozu zbliża się kolumna ewakuowana, która wyruszyła rankiem. Widocznie drogi były już przecięte, skoro zarządzono powrót.

W obozie rozpoczął się popłoch. Lagrowy Peter, zastawszy swą sztabę w nieładzie, szalał z wściekłości.

Rozpuszczono pogłoski, jakoby tymczasowy samorząd obozu miał się obdzielić margaryną i innymi zasobami, które jakoby pozostały w magazynie. Oczywiście było to fałszem. W ten sposób kapowie i inni funkcyjni z kolumny ewakuowanej chcieli zamaskować przywaszczenie przez siebie w czasie ewakuacji żywności, przede wszystkim margaryny. Wiedzieliśmy, że pogłoski te stwarzały okazję do zniszczenia ludzi, którzy zdolni byli do opanowania nieładu w obozie. Było to przecież celem władz obozowych. Wiedzieliśmy, że donosiciele wskażą bardziej czynnych.

I tak rozpoczął się "taniec".

Następnego dnia zebrano całą gromadę pozostałych w obozie więźniów na placu apelowym. Kilkudziesięciu drabów pod przewodnictwem Kapów, uzbrojonych w trzonki od łopat otoczywszy całą gromadę rozpoczęło masakrę, bijąc gdzie popadło. Tak "walcowano" nas kilka godzin. Wprost cudem uniknąłem silniejszych uderzeń w ciżbie katorżanych i wyjących z bólu ludzi. Zdążyłem szybko zniszczyć spis kolegów, zatrudnionych w kuchni. Gdy już ta horda bijących zmęczyła się, ustawiono nas w szereg, a pozostałych na placu odwołano do opatrunku na Revier. Wśród nich znajdował się i kol Brzostowski. Przybył siny z gniewu Lagerältester w otoczeniu Kapów i zaczął krzyczeć:

"Wy czerwoni bandyci. Nie chciało wam się iść na ewakuację, bo chcieliście witać Czerwoną Armię. Należy was wszystkich wytłuc, wystrzelać!" Oznajmił nam też, że spisano nazwiska wszystkich pozostałych w obozie i przesłano je Gestapo i że czekają nas wyroki śmierci. Zanim jednak to nastąpi, będziemy stanowić karną kompanię i poddani będziemy specjalnym karom.

Zostaliśmy oznaczeni czerwonymi kółkami na piersiach, plecach i nogawkach spodni. Oznajmiono nam, że będziemy pozbawieni jedzenia, zagrożono, że każdy, kto by nam podsunął jedzenie, zostanie surowo ukarany. Późnym wieczorem zapęczono nas do sztab.

Noc ta była najpotworniejszą w moim życiu, a dla wielu moich kolegów była ostatnią. Przebyłem tę noc w podobnym napięciu, jak skazaniec oczekujący wykonania wyroku śmierci. Widziałem, co spotkało Brzostowskiego i innych, byłem pewny, że i mnie to nie minie. Byłem przecież jednym z tych, którzy starali się zaprowadzić w obozie porządek. Przeczucia o grożącym niebezpieczeństwie nie dały mi zasnąć.

W sobotę 17 lutego 1945 r. o godz. 4-tej rano wypędzono nas brutalniej niż zwykle na plac apelowy. Tych, którzy zaliczeni byli do karnej kompanii, ustawiono osobno. Obok nas stała grupka pobitych w wieczornej masakrze. Stali z głowami owiniętymi w zakrwawione szmaty, będąc przedmiotem drwin ze strony kapów i funkcyjnych.

Po apelu nastąpiła selekcja w naszej grupie. Mieliśmy być jako karne oddziały, skierowani do robót na III Werku. Teren ten, położony za miastem nadawał się do masakry.

Lagerältester Peter w towarzystwie lekarza obozowego i Oberkapo przeglądali nasze szeregi. Tu i ówdzie wydzielał słabszych z kolumny. Skurczyłem się jak najbardziej, aby tylko zostać wyłączonym. Udało mi się to dzięki wstawianictwu felczera, mego przyjaciela, który stwierdził, że rzeczywiście z powodu choroby nie mogłem udać się na ewakuację.

Szczęście mi sprzyjało, kolumna odmaszerowała, ja pozostałem w obozie. Z grupy pobitych do karnej kompanii dołączono kol. Brzostowskiego, Richtera i kilku innych, Widziałem, że idą oni na pewną śmierć.

Pozostałych w obozie zapędzono do prac porządkowych, potem do sztub, abyśmy nie widzieli platformy nadjeżdżającej z trupami zabitych. Dwa, czy trzy razy przyjeżdżał ten wóz z terenu III Werku z nowymi ofiarami. Nie wiedzieliśmy nawet dokładnie ilu zginęło. Wśród nich były ciała Brzostowskiego i Richtera. Zwłoki złożono na stos w jednej ze sztub naszego bloku II pod Reviérem, a później pochowano je w masowych grobach na żydowskim cmentarzu. Reszta dnia minęła na apelach karnych i na pracach na terenie obozu. Oczekiwaliśmy z niepokojem powrotu karnej kompanii. Wrócili przed zmierzchem. Wygląd ich był straszny. Zziębnięci, niektórzy boso, bo drewniaki zniszczyli w błocie i śniegu, pokrwawieni, nieludzko wyczerpani i głodni.

Nie jestem już w stanie dokładnie odtworzyć w pamięci całego przebiegu tego dnia i wieczoru. Był to bowiem dzień szczególnej grozy.

O przebiegu prac przy III Werku dowiedziałem się od kol. Wińskiego, który też ledwie wrócił z tej pracy. Opowiadał, że wśród bicia i kopania musieli w śniegu i grząskim błocie ładować żelazne wózki na platformy kolejowe i znowu z powrotem je wyładowywać, dźwigając na dość wysokie nasypy. Była to praca bezcelowa, była tylko narzędziem kary. Wózki, które z trudem mogło dźwignąć 8 osób, dźwigało po trzech, czterech więźniów. Kto się pod ciężarem ugiął, tego czekała śmierć.

Taki to przebieg miał "krwawy piątek" i sobota w obozie Landeshut. Trwoga, jaka zalegała obóz, oczekujący dalszych szykan, powoli mijała. Widocznie cała wściekłość SS-manów i Kapów, wywołana zapewne i strachem przed zbliżającym się frontem, wyładowała się w tych krwawych dniach. W tymże bowiem czasie front zatrzymał się na linii między Legnicą a Jaworem /Jauer/ w odległości około 30 km od Landeshut. Jauer było w rękach niemieckich, Legnica już w rękach radzieckich. Stan ten trwał do 8 maja. Wyzwolenia mieliśmy dopiero doczekać o świcie 9 maja.

Jeszcze dziś widzę w pamięci serdeczne powitanie żołnierzy radzieckich, wyzwalających nas i swoich rodaków uwięzionych w obozie.

Po wyzwoleniu dwukrotnie odwiedziłem b. Landeshut - dziś Kamienną Górę, w budynkach, w których pracowaliśmy i które pochłonęły tyle ofiar, pomieszczono znów tkalnie. Wre tam praca. Niedaleko fabryk i terenu obozowego znajduje się wąska uliczka "Koncentraków". Prowadzi ona pod górę na dawny żydowski cmentarz, gdzie

w szeregu, w masowych grobach chowane były ofiary obozu wtedy, gdy już nie można ich było wywieźć do Gross-Rosen, do krematorium.

Mogiły te przed kilku laty zostały odkopane, a okshumowane zwłoki złożono we wspólnym grobie na tymże cmentarzu. Z tego cmentarza rozpościera się piękny widok na Kamienną Górę będącą dziś pięknym polskim miastem.

O tragicznej przeszłości obozu w tym mieście mówią tylko te mogiły i skromne Muzeum Regionalne.

"Krwawy piątek" miał miejsce w dniu 16 lutego 1945 r. Tego dnia karna kompania doznała masakry na placu apelowym, gdzie bito bez litości, stała na deszczu i w błocie przez cały dzień. Dopiero wieczorem już po apelu wygnano do "sprzątanía" I Werku grupę "karniaków" pod wodzą Kapo Regla i Teodora Szulca. Z pracy tej wrócili rano zdziśiatkowani. Mordercza praca na III Werku miała miejsce w sobotę 17 lutego 1945 r.

Albin Brzostowski zginął na oczach piszącego te słowa, już w pierwszych minutach pobytu na III Werku, w jego szerokich wrotach. Zginął od kilkakrotnych kopnięć drewniakiem w czaszkę przez Kapo Zappka.

/Z. Rałł/
Zapka

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.1

5.3. Od pierwszych dni

Aresztowany zostałem przez Gestapo w Białymstoku, 23 maja 1944 r., w związku z "wspą" kursów szkół podchorążych AK. 6 lipca 1944 r. po pobycie w więzieniu w Białymstoku, wraz z dużym transportem więźniów /ok. 800 osób/ zostałem przetransportowany okrężną trasą /przez Elk, Korsze, Olsztyn, Toruń, Poznań, Legnicę/ do Gross-Rosen, W czasie transportu trwającego 5 dni, w czasie upałów, w przepełnionych wagonach towarowych dano nam tylko raz pić przy czym wodę przyniosła w czasie postoju ludność Poznania.

W czasie drogi kilka osób podjęło próbę ucieczki. Podczas strzelaniny do uciekających SS-mani Niemcy i członkowie białoruskiego SS zabili kilku więźniów, których trupy dowieszone zostały wraz z żywymi do Gross-Rosen. Wyładowano nas o świcie na stacji i pieszo pognano nas do obozu, przy czym ludność miasteczka wykrzykiwała w naszym kierunku pogardliwe epitety wygrażając pięściami.

W obozie ustawieni nas przed blokiem Schreibstuby, gdzie funkcyjni więźniowie zrobili pierwszą masakrę bijąc kijami, raniąc dotkliwie i zabijając kilkanaście osób. Formalności przyjmowania, wciągania do kartotek, dawania numerów trwały przez cały dzień, bez jedzenia i wody. Transport nasz otrzymał numery zaczynające się od ok. 3600 do ok. 4480. Były to, jak nam powiedziano tzw. "Totenummern" czyli numery, które już raz mieli zmarli w obozie więźniowie.

Potem było jeszcze strzyżenie i golenie na całym ciele, dokonywane w brutalny sposób przez fryzjerów więźniów a następnie "dezynfekcja" ogolonych części ciała jakimś żrącym płynem.

W czasie zapisywania do kartoteki niektórym spośród nas wpisywano literki R.u. co, jak nam powiedziano później, oznaczało "Rückkehr unerwünscht" /powrót niepożądany/. Spisywanie personaliów i wypełnianie kartotek odbywało się pod bezpośrednim nadzorem SS-manów. Większość transportu została przydzielona na blok 8 /obok basenu przeciwpożarowego/, na którym wstępne "przeszkolenie" prowadził z nami sztabowy Soja.

Szczególnie dały nam się we znaki w pierwszych dniach wielogodzinne ćwiczenia odbywane boso na ostrym szutrze granitowym, którym były wysypane przejścia między oddziałami /musztra, skakanie żabki, turlanie się, padnij, powstań itd./. Zajęcia takie trwały przez cały tydzień, a następnie skierowano nas na tzw. komisję lekarską, która polegała na tym, że po kilkugodzinnym stanie nago przed blokiem Revieru pojedynczo musieliśmy wbiegać do pokoju, w którym urzędowała komisja i równie szybko - po obróceniu się dookoła - poganiani kopniakami wybiegaliśmy z powrotem. W niedzielę 16 lipca 1944 r. po południu z wygolonymi wzdłuż głowy od czoła do karku "Streifami", zwanymi przez więźniów Läusepromenade, uformowano transport, który następnie załadowano do wagonów, i zawieziono do Landeshut, gdzie byliśmy na drugi dzień. Po dwóch dniach, spędzonych na porządkowaniu przyszełego placu apelowego skierowano nas do pracy w fabryce łożysk kulowych Kramsta, Methner u. Frahne /.../.

Płaszczki na zimę mieli jedynie nieliczni, reszta zaś wkładała na siebie ręczniki lub worki od cementu, co było zresztą surowo

wzbronione i narażało na dodatkowe bicie. Od rana do nocy towarzyszyło nam zresztą bicie i poganianie. Jeden z SS-manów miał zwyczaj kłucia w biodra bagnetem, co powodowało długo niegojące się flegmony. Najprzykrzejsi na co dzień byli jednak kapowie, blokowi i sztubowi, którzy prześcigali się w dokuczaniu więźniom /.../.

Od 10 lutego 1945 r. leżałem na Rewierze z powodu silnej gorączki i kaszlu, stwierdzono obustronny wysięk opłucnowy a następnie gruźlicę. Życie zawdzięczam troskliwej opiece i sercu ówczesnego Pfliegera, obecnego radiologa dra Leona Kołakowskiego z Warszawy, któremu to samo ma do zawdzięczenia wielu innych więźniów. Jego obecność, optymizm, uśmiech i serdeczność oraz wydobywanie niewiadomych dla nas drogami leków i dodatkowych porcji żywności była dla nas wielką ulgą. Duże zasługi ma także nieznany mi z nazwiska i imienia lwowiak, stale wesół i rozśpiewany, który spełniał przy nas chorych najprzykrzejsze posługi pielęgniarskie.

Obóz nasz został wyzwolony przez Armię Radziecką dopiero 9 maja 1945 r. Każdy z nas poszedł do Polski na własną rękę. Po wyjściu z obozu ważyłem 40 kg. rozpoznano u mnie obustronną gruźlicę płuc oraz ogólne wyniszczenie znacznego stopnia. Jeszcze długo po wyzwoleniu leczyłem ponadto rozsiane po całym ciele wrzody, będące wynikiem awitaminozy, oparzeń opiłkami metalu i pokłucia bagnetem SS-manów.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.10

5.4. Na bloku i na Revierze

Po Powstaniu Warszawskim, w którym brałem czynny udział w grupie szturmowej pod dowództwem majora "Motyla", por. "Czarnego", ppor. "Wąwoza", we wrześniu 1944 r. zbiegiem okoliczności znalazłem się w tłumie pędzonej ludności cywilnej, z którą dotarłem do Pruszkowa. Zgromadzono nas w dość dużych halach fabrycznych, skąd po kilku dniach wagonami towarowymi wywieziono nas do obozu. Całkowite zaprowiantowanie stanowił otrzymany bochenek chleba. W każdym wagonie było około 100 osób. Podróż była niezmiernie uciążliwa.

Z pomocą przychodził nam PCK na niektórych stacjach, podając nam wodę i kromki chleba, których nie dla wszystkich starczało. Ludzie mdleli z wyczerpania. Były nawet przypadki śmiertelne.

Na docelowej stacji w Gross-Rosen powitani zostaliśmy kolbami karabinów SS-manów i psami. Ze stacji pognano nas do obozu. Tutaj ustawiono nas na rozległym placu. Tam wezwana wszystkich do oddania złotych monet, obrączek, naszyjników, dolarów itp. Po zaewidencjonowaniu, łaźni i dezynfekcji dano nam drewniaki i pasiaki. Do stałem się na pierwszą noc do dość dużego pomieszczenia 9-go bloku, gdzie nas "układano do snu" na podłodze przy pomocy grubych kijów. Pomieszczenie to, o powierzchni około 60 m², musiało pomieścić przeszło 500 osób. Funkcyjni Kapowie chodzili po nas i ubijali jak śledzie w beczce. Noc dłużyła się niesamowicie, ponieważ byłem ugodzony kijem w udo, nie mogłem zasnąć z bólu. O przewróceniu się na drugi bok w takim potwornym ścisku nie było mowy. Następnego dnia około godz. 5-tej rano rozpoczęły się zajęcia. Po rozdaniu misek otrzymałem z kotła 0,5 litra zupki mącznej. Zapędzony zostałem z kilkoma kolegami do prac porządkowych. W takich warunkach przebywałem 2 tygodnie. Ponieważ Niemcy poszukiwali fachowców, postanowiłem zgłosić się, jak wielu innych, na wyjazd do fabryki. Wydawało mi się, że tam będę miał większe szanse przeżycia niż w kamieniołomach.

Przed wyjazdem odbywała się "Komisja" na placu. Dzisiaj sam sobie nie wierzę, aby tak można było badać ludzi. Każdy z nas rozebrany do naga, z wyciągniętymi rękoma na boki, pojedynczo jeden za drugim zbliżał się do stołu, gdzie w białych fartuchach w asyście oficerów SS siedzieli lekarze. Obok nich SS-mani wydawali wrzaskliwe polecenia, zmuszające nas do szybkiego obrócenia się wokół własnej osi. Zbadany w ten sposób "pacjent" dostawał najczęściej kopniaka w celu przyspieszenia komisyjnej komedii. Przede mną był więzień z dużą przepubliną. Kopnięty SS-mańskim butem nie miał siły się podnieść. Wówczas został przez SS-mana skopany do utraty przytomności, przy czym wybito mu zęby.

Po komisji przypadkowo spotkałem znajomego, który oświadczył mi, że widział we wczorajszym transporcie mego ojca Józefa. Byłem szczęśliwy, że mogłem się z nim zobaczyć. Ojciec wyznał mi, że dotarł do obozu wraz z moją matką, lecz rozłączono ich koło bramy.

W dwa dni później zostaliśmy przewiezieni samochodami pod silną eskortą SS-manów z psami z Gross-Rosen do filii tego obozu w Landeshut /.../.

Przed snem więźniowie składali w kostki ubrania na taborety znajdujące się pomiędzy piętrowymi łózkami. Po godzinie 22-giej

zakazane były wszelkie rozmowy. W wypadku niestosowania się do tego zakazu, cała sztuba podlegała karom na placu apelowym, ćwicząc żabki lub przysiady itp. Nierzadko również budzono więźniów po 24-tej dla uczestnictwa w "wymiarze sprawiedliwości" za wszy znalezione przy kontroli.

Więzień, u którego znaleziono najwięcej wszy otrzymywał bykowiec do wymierzania kary. Sam musiał bić wszystkich po kolei, natomiast swoją porcję batów otrzymywał od kolegi, który pod tym względem zajmował drugie miejsce w danym dniu.

Przeliczyłem się kiedyś strasznie, gdy dano mi bykowiec, zacząłem wymierzać karę, zaczynając od swojego kolegi Jugosłowianina, który był bardzo miły i życzliwy. Uderzając - chciałem bić jak najlżej przyjaciela wspólnej niedoli. Wówczas funkcyjny popchnął mnie, aż upadłem, odebrał mi bykowiec, każąc położyć się na stole, uderzył pięciokrotnie, aż uklękłem na kolana z bólu, po czym prędko musiałem przystąpić do dalszego wymierzania kary własnym kolegom, a następnie musiałem położyć się ponownie na stole i dostałem swoją karę.

Jednym z zapamiętanych przeze mnie epizodów była sprawa przywłaszczenia przez więźnia butelki piwa i kanapek mistrza niemieckiego. Niemiec zawiadomił o tym kapo i SS-mana, którzy rozpoczęli natychmiastowe śledztwo, polegające na torturowaniu podejrzanego. Nieszczęśnikowi założono duży stalowy ring na szyję oraz dwa mniejsze na ręce wyciągnięte na boki, po czym kazano mu skakać żabkę, w czasie czego szczuty przez SS-mana pies szarpał go za nogi, które w krótkim czasie broczyły krwią. Męczonemu kolegę przynieśliśmy po pracy nieprzytomnego do obozu.

Przez cały czas pobytu w obozie nie otrzymałem żadnej paczki. Wyczerpany głodem i warunkami życia pewnego dnia udałem się na "Revier" mieszczący się w bloku Nr 2, na pierwszym piętrze. Przyznam się, że znałem objawy ataku wyrostka robaczkowego. Dlatego postanowiłem symulować taki atak, aby dostać się na Revier dla odpoczynku. Wyobrażałem sobie, że będzie to podobny do wolnościowego szpital, gdzie nie tylko odetchnę, lecz zaoszczędzę trochę sił. Ustawiłem się w kolejce do obozowego sanitariusza Leona Kołakowskiego, który po upływie kilku minut spytał, co mi jest, a po cichu - skąd jestem. Wskazując na miejsce gdzie jest wyrostek, mówiłem, że odczuwam kłucia, połączone z torsjami. Wówczas sanitariusz podał mi szklane naczynie na mocz. Kiedy oddałem mocz, powiedział do lekarza głównego, że jest w nim biało i jednocześnie wylał zawartość próbówki. Lekarz kazał mi zaczekać. Po pewnym czasie w obecności Kołakowskiego lekarz kazał mi się rozebrać i położyć na leżance mówiąc, że będzie robił operację. Kołakowski dał mi znak, abym się nie bał pogroźek lekarza. Leżąc, z niedowierzaniem patrzyłem na lekarza, który założył gumowe rękawice do łokcia i rozglądał się po pomieszczeniu. Po chwili porwał duży nóż do krajania chleba, podszedł do mnie i chwyciwszy za skórę uniósł rękę z nożem na wysokość głowy, poczem zatrzymał nóż nad moim brzuchem w okolicy wyrostka. Nie wiem jak wtedy wyglądałem, bo nie bardzo wierzyłem Kołakowskiemu. Lekarz odłożył jednak nóż i zaczął wygniatać mój wyrostek. Zacząłem przy tym trochę stękać. Ostatecznie pozwolono mi pozostać na izbie chorych.

W drzwiach Revierowej sztuby natknąłem się na nieboszczyka, którego wnoszono do kostnicy. Ulokowano mnie na jego łóżku. Na sali o powierzchni 25 m² znajdowało się co najmniej 40 ciężko chorych więźniów różnej narodowości.

Rankiem następnego dnia otrzymałem pierwszy posiłek, który niczym nie różnił się od posiłku normalnego więźnia. Miałem szczę-

ście, gdyż sztubowy, o ile się nie mylę, syn blokowego - rozlewając zupę zapytał mnie, czy mógłbym mu pomóc. Odpowiedziałem twierdząco, dodając, że chwilowo minął atak wyrostka. Następnie przystąpiłem do zajęć, polegających na podstawianiu misek napełnionych przez sztubowego zupką i rozdawaniu chorym kolegom. Na którymś łóżku spostrzegłem Saszkę, kolegę ze sztuby, z którym byłem zaprzyjaźniony.

Sasza był w partyzantce radzieckiej w stopniu lejtnanta i dostał się do obozu w wyniku obławy. Na skutek wycieńczenia doznał opuchlizny głodowej, która spowodowała obrzęk twarzy uniemożliwiający mu patrzenie na oczy. Wyglądem swym przypominał wówczas zażywnego człowieka o wadze powyżej 100 kg.

Po rozdaniu posiłku, rezerwę zupki odstawiłem na polecenie sztubowego w drugi koniec sali i udałem się do swego łóżka, aby zjeść swoją zupę. Po chwili sztubowy zapytał mnie, czy chcę dolewkę. Wówczas wlał mi do miski jeszcze jedną chochlę. Zapytałem go, czy pozwoli odlać połowę dolewki dla mojego przyjaciela Saszki. Odpowiedział szorstko, abym martwił się o siebie. Po chwili zapytał jednak skąd go znam i czy wiem, że to Rosjanin. Wtedy odrzekłem, że Saszka dzielił się ze mną czosnkiem i cebulą i że chciałem się mu odwzajemnić. Po namyśle sztubowy dał mi jeszcze jedną zapasową miskę dla przyjaciela.

Podczas obiadu również pomagałem sztubowemu w rozlewaniu cuchnącej brukwi do naczyń chorych. I tym razem dostałem dolewkę dla siebie i Saszki. Po obiedzie sztubowy zapędził mnie do łóżka, spodziewając się obchodu lekarzy. W czasie obchodu sanitariusz Kołakowski, jak sobie mogę dzisiaj przypomnieć, starał się w swojej dobroci pomagać chorym. Niektórym podawał nawet chleb, aby im przywrócić siły. Na pochwałę zasługuje również Stefan Gąsiowski, sanitariusz obozowy, który w najcięższych chwilach przychodził z pomocą wszystkim więźniom bez wyjątku. Na Rewierze przebywałem 8 dni. W tym czasie razem z Saszką odzyskaliśmy trochę sił. Po upływie tego terminu musiałem wrócić do pracy.

Co trzecią niedzielę mieliśmy przeznaczoną na generalne porządki na sztubie. Lagerältester dla zabawy wyrzucał z okna pierwszego piętra kilka papierosów pociętych na kawałki. Wynędzniały tłum zebranych, liczący nieraz kilkaset osób usiłował chwycić chociaż kawałek papierosa. W wolnych od zajęć chwilach szliśmy czasami na plac apelowy gdzie przy akompaniamencie obozowych akordeonów kazano nam śpiewać.

Od marca 1945 r. zamiast do fabryki pędzono nas do kopania rowów przeciwczołgowych na dalekich przedmieściach, aż pod Libau. Wyzwolenie zbliżało się do nas. Zima była dla nas w warunkach obozowych wyjątkowo ciężka. Drewniaki, wygolone głowy, pasiaste cienkie płaszcze i letnia odzież dawały niewiele ciepła. Każdego niemal dnia na własnych barkach przynosiliśmy z pracy do obozu kilkunastu kolegów. Nasi oprawcy w tym okresie dostawali smakołyki, cygara, długie kozuchy, buty filcowe, nauszники i słomiane buty, które zakładali na nogi w miejscu pracy. W przeciągu kilku miesięcy stan więźniów zmniejszył się przynajmniej o połowę.

W połowie lutego 1945 r. zostaliśmy ewakuowani w kierunku Drezna. Z braku środków transportu, SS-mani przygotowali dla nas parokonne wozy, do których zaprzęgnięto po 20 więźniów. Pozostali więźniowie szli za wozami. Po przebyciu w zaprzęgu 3 do 4 km, następową zmianą ciągnących wozy. Droga była bardzo trudna, gdyż posuwaliśmy się po wąskich, oblodzonych i pokrytych warstwą śniegu górskich drogach. W takich warunkach bici batami, szczuci psami szliśmy w nieznaną, pozostawiając za sobą trupy pomordowanych.

kolegów. Cel ewakuacji nie został jednak osiągnięty, ponieważ czolgi rosyjskie odcięły zamierzoną trasę transportu na zachód. W wyniku tego zmuszeni byliśmy do powrotu i pod wieczór znaleźliśmy się znów w obozie Landeshut.

Na terenie obozu pozostało około 200 osób ciężko i lżej chorych, którzy nie nadawali się do marszu. Po naszym przybyciu na miejsce rozpoczęła się masakra tych chorych więźniów, czego powodem miało być rzekomo zdemolowane pomieszczenia Lagerältestera, zniszczenie portretu Hitlera i nieporządki w obozie. Pozostawiono nas na placu apelowym, natomiast chorych spędzono na jeden blok, po czym przygotowaną miną oznaczano ich ubrania czerwonymi punktami, znamionującymi karną kompanię.

Nazajutrz rano nakazano blokowym na każdym bloku zasłonić okna i ostrzeżono nas, aby nikt się do nich nie zbliżał. Ciekawość jednak wzięła górę nad strachem i po wystawieniu czujek i zatarasowaniu drzwi, przez nakłute dziury w roletach patrzyliśmy, co dzieje się na dziedzińcu. Widzieliśmy jak uśmiercano więźniów szpadlami, grubymi kijami, a następnie dobijano z broni palnej. W ten sposób wymordowano najbardziej chorych i słabych /.../.

Wśród funkcyjnych oprawców byli jednak i ludzie, którzy zasłużyli na wdzięczność. Należał do nich kapo Jura. Pewnego razu podczas pracy na nocnej zmianie podszedłem do niemieckiego majstra, cywila mówiąc, że maszynę mamy zepsutą. Zamiast odpowiedzi majster kluczem francuskim uderzył mnie w kręgosłup tak silnie, że straciłem przytomność. Gdy wstałem, kręciło mi się w głowie i zacząłem pluć krwią. Po upływie kilku minut wsparty o żelazną poręcz przystąpiłem do dalszej pracy.

Później dowiedziałem się, że Kapo Jura pokłócił się z majstrem, mówiąc mu, że on jest od wymierzania kar. Następnego dnia majster podszedł do mnie mówiąc, że jego brat zginął w Warszawie, na co odpowiedziałem, że o tym nie wiem. Wówczas Niemiec przyprowadził kapo Jurę i kazał mnie ukarać 25 uderzeniami kabła za niewywiązywanie się z pracy. Kapo Jura poprowadził mnie w kierunku umywalni, poszarpując i popychając po drodze. W umywalni zamknął drzwi na haczyk, kazał mi zdjąć płaszcz, położyć go na jednym taborecie, uklęknąć przy drugim i na dany znak krzyczeć, za każdym uderzeniem w mój zwinięty płaszcz. Następnie Jura podporowadził mnie do umywalki spryskał mi wodą oczy i włosy, poczem poprowadził do mojej maszyny.

Nie można natomiast powiedzieć dobrego słowa o takich zwyrodnialcach jak Kapo Dicke - restaurator z Berlina, który za byle przewinienie bił do utraty przytomności, a niejednokrotnie uśmiercał swoje ofiary. Podobnie wykańczał więźniów Kapo Szulc, Regel i Zappek. Ich widok napawał każdego lękiem.

Wiosną 1945 r. z każdym dniem coraz wyraźniej słychać było działa zbliżającego się frontu.

Pewnego razu samolot rosyjski zrzucił ulotki w języku rosyjskim i niemieckim przestrzegając Niemców przed represjami, o ile dopuszczą się zamierzonego wymordowania więźniów.

Wyzwolenie obozu w Landeshut nastąpiło dzięki Armii Radzieckiej w dniu 9.V.1945 r. w godzinach rannych.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.2

5.5. Wyzwolenie

W lipcu 1944 r. zostałem przewieziony z obozu koncentracyjnego Gross-Rosen do Landeshut. Transport nasz liczył około 800 więźniów. Byli to przeważnie więźniowie, którzy przeszli już warszawski Pawiak i gestapowskie więzienie w Białymstoku. Po przejściu krótkiego okresu wstępnego przydzielono nas do poszczególnych komand roboczych. Skierowano mnie do pracy w fabryce łożysk kulkowych mieszczącej się w pobliżu obozu. Dni schodziły na pracy ponad siły, stałym biciu, wykonywaniu przymusowej "gimnastyki", przy szykanowaniu i mordowaniu bezbronnych ludzi bez jakiegokolwiek przyczyny. Widziałem codziennie i odczuwałem na sobie całą tragedię życia obozowego. Warunki obozowe przyczyniały się do ogromnej śmiertelności. Głód, praca ponad siły, systematyczne znęcanie się nad nami przez hitlerowskich wachmanów były przyczyną różnych chorób, których nikt nie leczył.

W marcu ewakuowano maszyny z fabryk i wywieziono je na zachód. Od tego czasu pędzono nas kilka kilometrów w kierunku Lubawki i tam w przełęczy kopaliśmy rowy przeciwczołgowe i budowaliśmy zapory na szosie. Do innych prac nas nie brano. Od połowy kwietnia już nie wychodziliśmy do pracy, lecz pozostawaliśmy w obozie. W czasie alarmu lotniczego w wielkim pośpiechu ogłoszono apel całego obozu i popędzono nas do lochów znajdujących się pod górą po drugiej stronie Bobru, nieopodal obozu. Biegając, z daleka zobaczyliśmy wybity w zboczu góry duży otwór. W ten otwór wbiegliśmy popędzani przez esesmanów i szczuci psami. Przekroczyliśmy potężną bramę zrobioną z żelaza, która po naszym wejściu szczelnie zamknęła otwór. Kilka metrów za tą bramą była druga brama zrobiona z żelaznej kratownicy, która również za nami została zamknięta. Wpędzono nas do długiego korytarza, bardzo wysokiego, wykutego w skale, bez obudowy. Po bokach leżały żelazne rury, pręty metalowe, druty. Korytarz był oświetlony bardzo słabym światłem. Jakie to było oświetlenie nie pamiętam. Następnie przepędzono nas do obszernej hali również wykutej w skale. Nie była ona zabudowana. Było tam ciemno. Trochę światła wpadającego z korytarza bardzo mało oświetlało halę, tak że trudno było coś dokładniej zauważyć. Hala ta musiała być bardzo obszerna, skoro wszyscy więźniowie tam zmieścili się. Gdy zamknęły się za nami żelazne wrota, ogarnął nas strach i niepewność. Sądziłem, że tu będą mogli nas zagazować. W tych pomieszczeniach widziałem kilku ludzi ubranych po cywilnemu. Zwróciłem się do jednego z zapytaniem /po niemiecku/, czy nie chcą nas tutaj wykończyć gazem. Odpowiedział po polsku, że tu gazów nie użyją, gdyż są porobione wywietrzniki do samego szczytu góry. Nic więcej nie dowiedziałem się od niego, odszedł, gdyż bał się wachmanna. Przebywaliśmy w tych lochach około godziny. Otworzono bramy i popędzono nas do obozu. Przypuszczaliśmy, że budują tam jakąś fabrykę.

Gdy nadeszła wiosna 1945 r. zdawaliśmy sobie sprawę, że zbliża się koniec wojny, że Niemcy ponoszą klęskę. SS-mani wyładowywali całą swą wściekłość i obawę o swą przyszłość na nas - więźniach, ślaniających się ludzkich cieniach. Z każdym dniem sadyzm tych oprawców wzrastał się.

Tego roku wiosna była piękna, wcześniej zrobiło się ciepło. Z dala, za drutami kolczastymi, przez które płynął prąd wysokiego

napięcia, widzieliśmy budzące się życie, budzącą się do życia przyrodę, dochodził do nas wiosenny zapach z pól i wzgórz otaczających obóz. A tu między drutami zamierało życie. A my tak bardzo chcieliśmy żyć, doczekać się choć jednego dnia wolności.

W kwietniu zaczęły dochodzić do nas odgłosy dalekich wybuchów pocisków artyleryjskich. Budziło to w nas nadzieję doczekania końca tragedii, spotęgowało chęć przeżycia, przetrwania. Wsłuchiwaaliśmy się w natężenie odgłosów wybuchów. Gdy odgłosy zbliżającego się frontu nieco cichły, wkradało się zwątpienie, rozpacz, żal, że o nas zapomniano. Wiedzieliśmy, że macierzysty obóz w Gross-Rosen został już zajęty przez wojska radzieckie. A u nas codziennie ginęli ludzie. Codziennie o świcie kolumnami wychodziliśmy z obozu w kierunku Jeleniej Góry kopać rowy przeciwczołgowe. Wieczorem wracaliśmy zdziesiątkowani. Na wozach ciągnęliśmy trupy lub konających. Na apelu wieczornym musieliśmy być wszyscy. Ustawialiśmy się piątkami. Na czele kolumny znajdowali się ci, którzy mogli stać o własnych siłach, na końcu leżeli ułożeni w szeregu zmarli lub konający.

Pierwsza ewakuacja obozu nastąpiła w pewien czwartek lutego 1945 r. Wypędzono wtedy wszystkich, pozostali w obozie tylko chorzy, którzy nie mogli poruszać się o własnych siłach. Szliśmy szosą. Był to marsz nędzników. Brak było sił, a tu jeszcze musieliśmy ciągnąć naładowane wozy, na których siedzieli SS-mani poganiający ciągnących więźniów. Ci, których opuściły siły, padali na szosę, SS-mani odciągali ich do rowu i dobijali. Gdy podchodziliśmy pod Lubawkę, kazano nam wracać do obozu. Wracając, widzieliśmy w rowach leżące trupy naszych współtowarzyszy, tych, którzy nie mieli sił iść dalej. Do obozu powróciliśmy wieczorem. Tam byliśmy świadkami masakry, w której wielu więźniów postradało życie.

W końcu kwietnia 1945 r. rozpoczęto przygotowanie do powtórnej ewakuacji obozu. Przede wszystkim wstrzymano prace więźniów poza terenem obozu. Któregoś dnia przyprowadzono do obozu dwóch dezertorów z formacji SS. Swymi opowiadaniem z frontu wskrzesili oni w nas ponownie iskierkę nadziei.

8 maja 1945 r. sformowano transport więźniów funkcyjnych. Wyszli rankiem z obozu na zachód. Wieczorem wyszedł drugi rzut ewakuacyjny więźniów. Jednak przeważająca większość więźniów pozostała nadal w obozie. Tego dnia po apelu rannym nie wyprowadzono nas do pracy. Trwaliśmy w niepewności. Dzień był piękny, ciepły, świeciło słońce. Dookoła cisza, jakaś przejmująca, przerażająca. Niemcy nie wchodzili na teren obozu, Rano nie dano nam nawet nic do picia, w południe nie przyniesiono codziennej łyżki strawy, nie otrzymaliśmy także chleba. Czekaliśmy, co los nam zgotuje.

Wieczorem zarządzono apel całego obozu. Zjawili się SS-mani wraz z komendą obozu. Byli pijani. Lagerführer wygłosił do nas przemówienie. Powiedział, że do tej chwili było nam dobrze, mieliśmy co jeść, byliśmy pilnowani, by nie stała nam się krzywda. Teraz z nami koniec, jest rozkaz by nas zlikwidować. Mają na to już przygotowane granaty i wystarczającą ilość amunicji. - Nie pozostanie po was ani śladu - zakończył swoje przemówienie. Wachmani zapędzili nas na bloki. Zakazano wychodzenia z bloków, okna trzeba było zasłonić kocami, by nie widzieć co się dzieje na zewnątrz. Niemcy ponownie udali się do budynku komendy na dalszą libację, którą słyszać było w całym obozie.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że to ostatnie chwile naszego istnienia. Jednak postanowiliśmy walczyć. Uważaliśmy, że choć kilku z nas wydobędzie się z tego piekła i powie światu co się z nami sta-

zo. Planowaliśmy, z chwilą wprowadzenia nas na plac apelowy, rzucić się na oprawców, a może w ten sposób choć kilku z nas zdoła zbiec. Uzbroiliśmy się w deski od prycz, nogi od stołków, rozebraлиśmy piec na cegły i tak uzbrojeni czekaliśmy na to, co ma nastąpić. Nikt nie zasnął.

Nadszedł dzień 9 maja 1945 r. Gdy zaczęło świtać nagle usłyszeliśmy w pobliżu obozu dwa potężne wybuchy i znów nastała cisza. Nie wiedzieliśmy co się stało. Nie mogliśmy już dłużej czekać, nerwy nie wytrzymały. Baliśmy się odsłonić okno, gdyż w pobliżu stała wieżyczka z wartownikiem. Obawialiśmy się, by do nas nie strzelał. Jeden z więźniów zrobił w kocu maleńką dziurkę. Zauważył, że na wieżyczce nie ma nikogo. Zdecydowałem się wyjść przed blok. Powiedziałem współtowarzyszom niedoli, że zaryzykuję, co ma być, niech będzie.

Bardzo ostrożnie otworzyłem drzwi i wysunąłem głowę. Cały teren obozu był pusty, panowała zupełna cisza. Wyszedłem na zewnątrz i wzdłuż ściany bloku skierowałem się do narożnika, by spojrzeć w kierunku głównej bramy /siedziałem wtedy na drugim bloku od bramy/. Brama była zamknięta, przy niej nie zauważyłem wartownika. Rozejrzałem się ponownie po obozie. Teraz zaczęli powoli, ostrożnie wysuwać się inni więźniowie. Kilku dołączyło do mnie i razem poszliśmy pod bramę. Była zamknięta na zamek, w drutach nie było już prądu, nie świeciły lampy. Pod naporem grupujących się więźniów brama została wyłamana. Czyżby to już wolność?

W tym momencie ujrzeliśmy żołnierza radzieckiego wychodzącego spod mostu kolejowego, który znajdował się obok obozu. W obu rękach miał pistolety. Wszedł na teren obozu, spytał o Niemców i poszedł dalej. Wtedy w całym obozie rozległ się ogłuszający krzyk radości, płacz mieszał się ze śmiechem, więźniowie ściskali się, całowali, opanowała nas obłąkańcza radość. Nareszcie wolność. Każdy cieszył się wolnością. Wprost nie mogliśmy uwierzyć, że żyjemy.

W jakiś czas po tym pierwszym żołnierzu nadszedł radziecki oficer, zatrzymał się i zaczął z nami rozmawiać. Powiedział, że wojna zakończyła się już wczoraj, jesteście wolni i możemy wracać do domów.

Wyszliśmy za bramę, przez obręb drutów kolczastych. Usiedliśmy na ziemi i sami nie wiedzieliśmy co ze sobą zrobić. Był to dla nas ogromny szok. Przejście granicy z wegetacji i niepewności - do nowego życia było tak gwałtowne, że zagubiliśmy się. Ktoś proponował ucieczkę, bo Niemcy mogą powrócić i wtedy zrobią z nami koniec. Ale jak uciekać, kiedy nogi nie chcą nieść? Lecz strach dodał nam sił i oddaliliśmy się jak najszybciej od obozu.

Nie myślałem o niczym innym, jak tylko najeść się do syta. Wreszcie spełniło się to pragnienie. Spotkałem żołnierzy radzieckich, którzy widząc, że jestem z obozu, oddali mi swoje śniadanie. Dzięki niemu zaspokoilem głód, który od dawna mnie nie opuszczał. Po wyjściu z obozu ważyłem niecałe 42 kg, gdy przed aresztowaniem - 70 kg.

Ciągnęło mnie do domu. Trapiła mnie niepewność losu matki, która sama została w domu. Grupkami rozpoczęliśmy wędrówkę do domów, zaraz pierwszego dnia wolności.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.15

5.6. Na wolności

Rankiem 9 maja 1945 r. wkroczyła do Landeshut zwycięska Armia Radziecka. Wkraczające oddziały radzieckie witali w Kamiennej Górze łzami radości i wiewatami - nie kto inny, a my - Polacy, wczorajsi więźniowie. Wśród nich i ja, Nr 87993.

Od pierwszej chwili wyzwolenia obozu w Landeshut ostoją i opiekunem naszym stała się radziecka Komenda Wojenna i jej dowódca major Archangielski. Ani na chwilę nie zapomnieliśmy przypowieści o dobrym ojcu i siedmiu synach i nie traciliśmy równowagi ducha.

Ci wszyscy, którzy nie poddali się przemożnej chęci zdobycia wózka ręcznego, zapakowania w niego resztek dobytku i wędrówki w swoje strony, zamieszkali zbiorowo w hotelu Kaiserhoff. Ale nie jako ludzie bezbronni i bezradni, każdy za swoim łóżkiem miał automat do obrony. Zmieniając mieszkanie w końcu czerwca 1945 r., gdy opuszczałem pokój hotelowy z teczką w ręku i kieszeniami marynarki wypchanymi chlebem, zabrałem również i automat. Zajął on swoje miejsce za łóżkiem i w nowym pomieszczeniu. Na jesieni miałem nawet z tego powodu wiele przykrości, bo w nawale wrażeń przeżywanych codziennie, zupełnie o nim zapomniałem i nie oddałem broni w przewidzianym terminie.

Te bojowe przygotowania nowych gospodarzy Kamiennej Góry, były wynikiem codziennej szeptanej propagandy, że właśnie tej nocy będzie na nas napad, a każdy z nas tak cieszył się życiem i wolnością i nie chciał bez walki umierać. Obawy były zbędne - napadu nie było. W ciągu dnia nawet nie było czasu pomyśleć o takim zagrożeniu, bo na każdym kroku spotykały nas głębokie ukłony ludności niemieckiej, która usuwała się z drogi przed b. więźniami idącymi z odkrytą głową. /W obozie stosowano golenie brzytwą pasów od czoła do karku środkowej partii głowy na szerokość trzech palców. Ścieżki te bardzo wolno porastały, a ich widok wywoływał takie reakcje ludności niemieckiej/.

Wstępne organizowanie nowego życia sprowadziło się do rejestracji i opieki nad towarzyszami niedoli, którym stan zdrowia nie pozwalał swobodnie się poruszać.

Jedynym źródłem informacji w ciągu kilku pierwszych dni była Komenda Wojenna. Dopiero 18 maja mjr Archangielski przywiózł ze sztabu armii w Legnicy ogłoszenia o granicy na Odrze i Nysie, co wywołało nasz entuzjazm. Dla uczczenia dobrej wieści nastąpiła pogon za prawdziwą kawą ziarnistą i herbatą, trudną do zdobycia w owych dniach. A dobre wiadomości napływały nieprzerwanie.

20 maja zjechała do Kamiennej Góry władza administracyjna, na czele z Ob. Kalamaniem, pierwszym pełnomocnikiem na obwód administracyjny Nr XXVIII. Grupa ta w składzie około 25 osób, angażowała chętnych do pracy spośród zasiedziałej Polonii, byłych więźniów i organizowała polską administrację. Jak grzyby po deszczu wyrastała dzień po dniu: MO, referat meldunkowy, aprowizacyjny, opieki społecznej i pracy, rolny i weterynaryjny. Do pracy przywoływało się też pozostałych na miejscu dotychczasowych pracowników - Niemców. Mianowano burmistrzów i wójtów. Powiat miał 3 miasta: Kamienna Góra, Lubawka, Szymrych. Dokonano spisu rolnego, który wykazał duże zasoby bydła. Ponad 10 000 sztuk przekazano z terenu powiatu Kamienna Góra na zagospodarowanie terenów zniszczonych działaniami

wojennymi. Pracę ułatwiała wyjątkowa sytuacja: wszyscy się znali i wszystko o sobie wiedzieli. Najbardziej wpływał na harmonię współpracy absolutny brak zawiści. Każdy z nas miał taką ilość funkcji, jakiej tylko mógł podołać.

Dowodem wielkich braków kadrowych jest fakt, że piszący te słowa, otrzymał dekret powiatowego lekarza weterynarii na cztery powiaty: Kamienna Góra, Jelenia Góra, Jawor, Złotoryja, a oprócz tego był pełnomocnikiem akcji żniwnej i łącznikiem między administracją polską a Komendą Wojenną. Poprawa w tej dziedzinie nastąpiła w końcu maja 1945 r., z chwilą zorganizowania P.U.R-u i przybycia Grupy Operacyjnej, która zaczęła zabezpieczać obiekty przemysłowe, przekazywane przez wojskowe władze radzieckie. Z chwilą zorganizowania się powiatowego Urzędu Ziemskiego, przekazywane były także polskiej administracji opuszczone większe majątki rolne, objęte dotychczas przez wojska radzieckie.

W kilka dni po przybyciu grupy administracyjnej nadciągnęła do Kamiennej Góry jednostka Wojska Polskiego pod dowództwem pułkownika Kondrackiego i szefa sztabu majora Wesołowskiego. Nadchodziły transporty repatriantów i przesiedleńców, przeważnie z powiatu Nowy Sącz, a jednocześnie zaczynali się osiedlać w terenie powiatu zdemobilizowani żołnierze, którzy wraz z byłymi więźniami przywracali polskość na tych ziemiach.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.10